



Mój pierwszy szturm na Piotrków zakończył się klęską. Po zaciętej walce padłam pokonana u wrót miasta Leszna. Zabrakło mi zaledwie kilkudziesięciu metrów wysokości, aby wrócić na lotnisko po przeleceniu odległości 447km. Nie miałam sobie nic do wyrzucenia, nie popełniłam żadnego błędu, ale widocznie nie było mi pisanym zdobycie Piotrkowa za pierwszym razem.

Był to jeden z najciekawszych, a jednocześnie denerwujących przelotów, jakie dotychczas wykonałam. Do Leszna przyjechałam ostatniego dnia lipca 62r., a że podróż miałam uciążliwą, nie spieszyłam się rano na start, tym bardziej, że na niebie

nie było ani śladu chmurki. Słowa Józka Dankowskiego: - Lecisz na docel – powrót do Piotrkowa – zaskoczyły mnie bardzo.

- A warunki? – zapytałam nieśmiało.

- Nic się nie martw, zaraz będą.

- ?

Nie przestroiałam się jeszcze na latanie, nie zorganizowałam opieki dla mojego małego pomocnika, którego przywiozłam ze sobą, było już dosyć późno, ale moment wahania był krótki.

- Zaraz będę gotowa.

Wystartowałam na „Foce” o 11.50. Odczepiłam się jakoś niefortunnie, tak że długo musiałam bronić się, aby nie wylądować. Wreszcie przywoity komin! Jeszcze raz spojrzałam na zegarek – późno, psia kość – i poleciałam „w Polskę”. Pomyślałam sobie, że przecież nie mam nic do stracenia, mogę wracać z drogi, jeśli nie będzie żadnych szans na wykonanie przelotu. Postanowiłam zrobić obrachunek koło Ostrowa.

Z Leszna do Ostrowa leciałam bez żadnych kłopotów, ale tam napotkałam na obszar, gdzie cumulusy rozlewały się i zacieniały ziemię. Zaczęły się poważne trudności ze znalezieniem wznoszeń. Nad miastem byłam bardzo nisko i choć sytuacja była niewesoła, kiedy przypomniałam sobie, jak przed lotem na pewniaka postanowiłam wracać z Ostrowa, gdy okaże się, że warunki są beznadziejne, ogarnął mnie pusty śmiech. Pogodziłam się z losem, że wyląduję zaraz gdzieś przy mieście, już zgadywałam nawet przy jakiej ulicy i pod którym numerem, gdy okazało się, że ostatnia deska ratunku, jaką był ciemniejszy skraj rozmazanej chmury, wznosi. I to 2 metry, nawet 3. Niesamowite! Na tej wysokości!

W tym momencie w kabinie dało się słyszeć głośnie westchnienie ulgi, któremu wtórował gdzieś z dołu przeciągły gwizd lokomotywy. Miałam szczęście, tym razem nie wyląduję w Ostrowie. Kiedy byłam na wysokości 1600m, stwierdziłam, że wygląd nieba zdecydowanie się poprawił. I co, wracać? Nie ma głupich. Warunki mogą się przecież długo utrzymać, trzeba teraz przestawić się tylko na większy gaz.

Od Ostrowca do Piotrkowa pędziłam jak szatan. O 15.15 meldowałam się nad punktem, chwaliłam samą siebie za to, że nie „złamałam się” i nie wracałam z drogi. Podstawa chmur wynosiła teraz 1800m, często napotykałam trzymetrowe wznoszenia, leciałam więc szybko i z fantazją. Krążąc trzymałam się niemal pazurami środka komina i obserwowałam wygląd nieba, lecąc po prostej pod upatrzoną chmurkę, beztrudno podziwiałam piękne widoki i odpoczywałam.

O godzinie 16.45 byłam już nad Ostrowem na wysokości 2000m. I choć od Leszna dzieliło mnie 90km i teoretycznie potrzebowałam jeszcze spotkać w odpowiednim miejscu jeden dobry komin, aby pomyślnie zakończyć przelot, mina mi zrzęda. Od północnego zachodu szły mi na spotkanie chmury warstwowe, ciągnące się od horyzontu do horyzontu. Czasami takie chmury wyglądają całkiem sympatycznie, ale teraz wydały mi się szkaradne. Na południowej stronie trasy, pod niebem zasnutym cienką warstwą cirrostratusa, utrzymywały się jeszcze anemiczne cumulusy. Nie było innego wyboru, trzeba było odejść na południe i tamtędy starać się dolecieć do Leszna.

Musiłam teraz lecieć wolno i wykorzystywać nieomal każde napotkane wznoszenie. W odległości około 55km od Leszna pod ostatnią chmurą i słabym wznoszeniem, wewnątrz niej dosłownie „wybrałam” wysokość 2400m. Powinam dolecieć, ale czy dolecę? Oprócz odległości miałam do pokonania czołowo – boczny wiatr, który na szczęście był słaby.

Przypomniał mi się mój pierwszy start w Szybowcowych Mistrzostwach Polski. Fatalny, choć dobrze wyliczony i zdawałoby się pewny dolot na trójkącie 200km, zakończył się lądowaniem tuż przed lotniskiem i uszkodzeniem kadłuba „Jaskółki”. Jeszcze nie tak dawno słyszałam w Lesznie nastrojowe opowiadanie, jak



wyrzucone wtedy przeze mnie z kabiny i rozsiane po łubinie wszystkie „pomoce naukowe” do tej pory straszą w okolicy lotniska.

Podobno w ciemną, wietrzną noc można usłyszeć podejrzane stukanie, brzękanie i szelest kartek. Ktoś twierdził, że razem z tymi tajemniczymi odgłosami wałęsa się jakieś paskudne przekleństwo. Inny prostował, że słychać raczej plusk wylanych tam łez. Teraz mądrzejsza o to smutne doświadczenie nie mam już pewności, że dolecę.

Po przeleceniu 10km, potem 20km wszystko mi się zgadza, wysokość maleje zgodnie z wyliczeniem. Ale w odległości 30km od lotniska zaczyna się źle dziać. Pada, a „Foka” nie lubi deszczu. To nieważne, że z kabiny nic do przodu nie widać, ale opadanie wzrasta.

Nie ma żadnej możliwości przeczekania deszczu gdzieś z boku, nie ma żadnej rady, trzeba lecieć do przodu. 20km przed lotniskiem byłam na wysokości 750m. Zdaję sobie sprawę, że jest bardzo źle, ale do końca nie można się „łamać”. „Do ostatniego naboju” pomyślałam sobie, lecz własny dowcip wcale mnie nie rozśmieszył. Może nad lasem będzie choć zmniejszone opadanie, oszukuję samą siebie, bo wiem, że las przy takim typie pogody nie poratuje mnie. Właściwie nie ma już nic do roboty. Nic nie można wykombinować, bo i co w takiej sytuacji wymyślę?

Mogę tylko dla podtrzymania się na duchu przeżywać jeszcze raz mój dolot do Tyszowic, dosłownie na „rzęsach”. Do ostatniej niemal chwili byłam przekonana, że nie dolecę, a jednak doleciałam. Ostatnie 5km leciałam skrajem lasu na zerze i zmniejszonym opadaniu, cały czas obserwując pola przylegające do lasu. Gdy tylko opadanie wzrośnie, trzeba robić zakręt w prawo i lądować. Zdawało mi się wtedy, że te kilka minut wlecze się w nieskończoność. Jeszcze tylko ostatnie drzewa zagrządzające mi drogę i jestem na miejscu. Po lądowaniu stwierdziłam, że bołą mnie szczęki i to od czego – od zaciskania zębów. Ale grunt, że wtedy porwało, bo teraz widzę, że i zaciskanie zębów nie pomoże.

Decyduję się na przelot nad lasem w jego najwęższym miejscu. Jakże to długo trwa. Wreszcie las jest za mną. Z prawej strony mam miasto Leszno, pode mną droga, za nią stadion sportowy i jakieś skrawki pól. Tuż za dachem kurzej fermy robię zakręt o 90° i mam wrażenie, że spłoszone kury skaczą i fruują mi przez skrzydła. Wybrane półko jest krótkie i piaszczyste, ale zmieszczę się tam jakoś. Boję się tylko kamieni, bo „Foka” ląduje dosłownie na brzuchu, a licho nie śpi. W lądowanie wkładam całe swoje umiejętności i mobilizuję wszystkie rezerwy sił. Szybowiec przyziemił i zatrzymał się tam, gdzie chciałam. Wszystko w porządku. Była już 18.45.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że bezapelacyjnie przegrałam, a do lotniska można nieomal dorzucić kamieniem, że jestem bardzo zmęczona i że cieszę się, że szybowiec cały. Teraz napić się czegoś, umyć ręce i chwilę odpocząć w ciszy. Ale gdzież tam! Nim zdążyłam odsunąć kabinę, obskoczyła mnie chmara rozbrykanych Cyganiąt. Niejednokrotnie narzekałam w terenie przygodnym, że dzieci są niemożliwe, nie słuchają i rozrabiają. Teraz wiedziałam, że zachowywały się niby aniołki. Bo wokół mnie rozpętało się piekło. – Skąd się pani wzięła? A co to jest? Z czego to jest zrobione? Czy mogę sobie to wziąć? Ja chcę też! O! To się rusza! Co mi pani da? Popatrz, to wcale nie jest z żelaza! Ja chcę tam wejść! I ja! I ja! I ja też! itp. Na szczęście nie musiałam odchodzić do telefonu, bo z pobliskiego domu wyszedł jakiś pan i zapytał, czy zawiadomić lotnisko. Kiedy chciałam mu podać numer telefonu i inne potrzebne dane, odpowiedział, że wie wszystko co potrzeba.

To, że udało mi się całą „Fokę” podciągnąć do drogi, uważam za swój wielki wyczyn.

Ledwie zabrałam się do demontażu, gdy usłyszałam zbiorowy okrzyk.

- Jedzie!

- Jedzie auto.

- Z czymś takim przyczepionym.

Teraz wszystkie Cyganięta rzuciły się na „Nyse” i wóz transportowy, a ja mogłam przez moment odetchnąć. Tylko jeden uparty Cygan nie odstępował „Foki”. Twierdził, że nie mam głowy handlowej, bo nie chcę mu sprzedać szybowca. Daje mi gotówką taki pieniądz, 10 000zł. To przecież jest używane, czegoż więc chcę. Może myślę, że mi da 20 000zł. Nic z tego, najwyżej 11 tys. złotych. Takiego dobrego kupca nigdzie nie znajdę. Byłam ciekawa, po co mu takie чудо.

- Przyda mi się; ładne, jeść nie woła, pokazywałbym ludziom i co nieco przy tym zarabiał.

Ale targu nie dobiliśmy.

Kierowca poinformował mnie, że od 2 godzin czekał na wiadomość o moim lądowaniu i wybierał się po mnie pod Piotrków. Nikt się bowiem nie spodziewał, że mogę lądować tak blisko.

Swoim wczesnym zjawieniem się na lotnisku zrobiłam nieco zamieszania.

- Skąd się tak wcześniej wzięłaś.

- Z Leszna.

- Jak to z Leszna, tu się wcześniej zakitowało.

- Wracam okrężną drogą.

- No popatrz, a to pech!

- Ano pech!

- Już ten przelot zaklepałaś dla siebie. Musisz spróbować kiedyś jeszcze raz.

- Muszę.

Okazja nadarzyła się dopiero za rok.

W środę, 3 VII 1963r. od rana było wielkie zamieszanie na lotnisku w Lesznie. Wszyscy mówili, że zanosi się na szatańskie warunki: W dniu tym po raz pierwszy mogłam sobie wybrać trasę przelotu: trójkąt 500km, trójkąt 300km albo docel – powrót do Piotrkowa. Wybrałam Piotrków. Jeszcze wcześniej ustalono, że odległość mierzona od lotniska w Lesznie ledwie przewyższa wymagane 10km, jakie trzeba przekroczyć, aby ustanowić rekord przelotu odległościowego.

Dlatego przy sąsiedniej wsi, zostało wyznaczone pole, nad którym miałam się odczepić i później tam lądować. Kiedy przed moją „Fokę” zakolewał „Junak”, w którym zobaczyłam Włodka Jesionowskiego, miałam w pierwszej kolejności odczepić linę i pod jakimś pretekstem odłożyć start, aby poczekać na innego holownika.

Włodek dobrze wiedział, co sobie myślę, bo w czasie mistrzostw wypominałam mu, że przynosi mi pecha; holował mnie do trzech konkurencji i właśnie wtedy siadałam w polu. Ale postanowiłam przełamać złą passę. Gdy nad wybranym polem nabieraliśmy wysokości, słyszałam przez radio, że wybierający się na trójkąt 500km: Ada Dankowska, Staszek Wielgus i Zenon Skolski już wystartowali i naradzają się, w którą stronę wpierw lecieć – do Łodzi, czy do Opola. Choć było jeszcze bardzo wcześnie, bo odczepiłam się o 9.57, w okolicy lotniska, jak grzyby po deszczu zaczęły wyskakiwać cumulusy o podstawie 800 – 900m. Tworzyło się ich coraz więcej na południe od lotniska, tak, że pozostała trójka zdecydowała się już lecieć w kierunku na Opole. Ja musiałam czekać nad dużym lasem, bo na wschodzie było bezchmurnie.

Słyszę, że tamci mają już podstawę 1100, wznoszenia do 2m/sek. a ja „wożę” się pod chmurą i czekam.

Wreszcie i na wschodzie tworzą się na razie bardzo anemiczne chmurki. Trzeba lecieć. Przymierzam się pod taką jedną, mam 700m... i przelatuję górę. Oj niedobrze. Pod następną jestem już na 450m, łapię niecałe 0.5m/sek i czepiam się tego, aby na razie się utrzymać w powietrzu i czekać na poprawę warunków.

Z lotniska pytają, co u mnie słychać, więc odpowiadam, że wykręciłam do podstawy, a teraz lecę do przodu.

- Jaką masz wysokość?

- 700m.

Wymowna chwila milczenia i podtrzymujący mnie na duchu głos Józka:

- No to nie daj się, w razie czego ląduj w Goli, zaraz Cię ściągniemy i polecisz drugi raz.

Nie lądowałam w Goli: leciałam powolutku, bardzo ostrożnie i niecierpliwie czekałam na poprawę warunków. Po przeleceniu odległości 100km po raz pierwszy miałam wysokość 1000m. Ale od Ostrowa odżyłam. Podstawa chmur dosłownie podniosła się w oczach, można już było lecieć do przodu i wybierać silniejsze wznoszenie. Na północ od trasy widać było wyraźnie zarysowującą się granicę, gdzie kończą się cumulusy, na południu były piękne cumulusy, jakie nieczęsto widuje się w ciągu roku. Słyszałam przez radio rozmowy Staszka, Ady i Zenka. Trzymali się w luźnym szyku, chwalili warunki i błyskawicznie mijali dziesiątki kilometrów.

O 14 meldowałam się nad lotniskiem w Piotrkowie. Lotnisko było puste, tylko koło hangaru leżała wyłożona z płócien startowych litera L. Mam za sobą połowę drogi i 4 godziny lotu, w tym część wykonaną w bardzo słabych warunkach. Na powrotną drogę potrzeba mi maksimum 4 godziny, a wznoszenia powinny utrzymywać się do 19. Mam więc jeszcze mnóstwo czasu. Tyle tylko, że w każdej chwili mogę wylądować gdzieś w polu albo pogoda spłata jakiegoś złośliwego figla.

Trasa mojego lotu przecinała się koło Warty z drugim bokiem trójkąta 500km. Z rozmów, które słyszałam przez radio, wiedziałam, że tamci też dolatują do Widawy, mogę więc z kimś się spotkać. Podałam dokładnie swoje położenie i po pewnym czasie usłyszałam głos Ady.

- Hej! Peła! Ile tam masz?

- Dobre 3 metry.

Zaczęłam się rozglądać na wszystkie strony i zobaczyłam lecącą z południa szarą „Fokę”.

Co za spotkanie!

Wcześniej rano miałyśmy okazję tylko z daleka machnąć sobie ręką na powitanie, a teraz widzimy się i prowadzimy nieomal towarzyską rozmowę gdzieś w środku Polski:



- No to cześć, trzymaj się!
- Cześć, trzymaj się!

I każda poleciała w swoją stronę. Wiedziałam, że dla nich niestety, zaczynają się teraz ciężkie czasy. Na północ od Łasku nie było już chmur, tak że dołot do 2-giego punktu i cały trzeci bok musieli lecieć prawie na całkowicie na termice bezchmurnej. To jest naprawdę denerwujące latanie, które przypomina mi kupowanie przysłowiowego kota w worku. Leci się, leci i kombinuje, gdzie może wznosić, a jeśli szybowcem zaczyna już telepać, to zgaduj teraz, bezsilny człowieku, z której strony jest komin. Jeśli cała ta historia odbywa się wysoko, to jeszcze pół biedy. Ale nisko może być przykro. A tu na dodatek nigdzie odrobiny cienia, słońce przypieka przez plexi, że delikwent czuje się niby omlet na patelni, pot zalewa mu oczy, a on musi się wykręcić. Od Sieradza i u mnie skończyły się chmury. Przykazałam sobie surowo, że muszę trzymać się wysoko, bo niestety po kilku godzinach lotu czuję się trochę zmęczona i takie ratowanie się nisko nad ziemią może się nie udać. Co innego na początku lotu!

Kiedy minęłam Ostrów, miałam już łączność z lotniskiem, gdzie przekazywałam także wiadomości od lecących bardziej w tyle Ady, Staszka i Zenka.

Walczyli bohatercko, ale widocznie nie było im w tym dniu pisane oblecenie trójkąta, jak się filozoficznie mawia, chcąc osłodzić własne czy cudze niepowodzenia.

Ada i Staszek lecący na „Fokach” lądowali o godzinie 19 w odległości zaledwie 45km od Leszna; Zenek, który leciał na „Bocianie”, lądował koło Ostrowa.

O 17 byłam w odległości 50km od lotniska. Leciałam już ostrożnie, bo nie byłoby teraz nic gorszego niż głupie wykończenie się spowodowane pośpiechem. Miałam ochotę iść o zakład czy Włodek Jesionowski i tym razem przyniesie mi pecha. Wszystko jednak ostatecznie zależy ode mnie, nie można ciągle zganiać winy na holownika. Z lotniska coraz częściej pytali, co u mnie nowego. Jakże dobrze wiedziałam co się tam dzieje, jak się denerwują, palą papierosy, jak chcą, aby już, już być na lotnisku po udanym przelocie.

Kiedy o 17.30 odpowiedziałam, że jestem koło Miejskiej Górki, mam wysokość 600m i pilnie poszukuję wznoszenia, zapanowała cisza. Po chwili mogłam zameldować, że mam metr i jestem uratowana. Postanowiłam, że w tym kominie wykręcę wysokość potrzebną na dołot, ale kiedy zobaczyłam przed sobą tworzącą się chmurkę, nie wytrzymałam. Chmurka! Już tak dawno nie miałam do czynienia z podobnym zjawiskiem! Nie pomyliłam się, było prawie 3m/sek. Na niecierpliwe pytanie ze startu „gdzie ty u licha jesteś” odpowiedziałam spokojnie, że przed Leszkiem mam 1000m wysokości i krążę dalej.

- Nie wiesz przypadkiem, po co Ci taka wysokość – zaczęli mi przygadywać.

- A co, nie wolno sobie trochę polatać? Co za dziwne uczucie! Z jednej strony radość, że już dolatuję do celu, a jednocześnie przykro mi, że nie można lecieć dalej, bo koło lotniska warunki zdecydowanie się poprawiły.

Identyczną sytuację miałyśmy z siostrą w ubiegłym roku. Leciałyśmy wtedy na „Bocianie” na docel do Bobrownik. Kiedy po 7 godzinach lotu, zmarznęte i głodne byłyśmy nad granicą, wykrzyknęłyśmy początkowo wielkim głosem: hura! Jednak doleciałyśmy! Zaraz rozprostujemy kości!

Ale zaraz zaczęło się narzekanie, że to „kryminał” lądować tak wcześnie, w piękną pogodę, kiedy można przelecieć jeszcze 200km, że właśnie złapałyśmy drugi oddech i zrobiło się jakoś cieplej. Lądowanie po wykonaniu przelotu odległościowego, kiedy jeszcze są warunki, to naprawdę duża przykrość.

Ze startu każą mi, abym przyleciała nad lotnisko i pokazała się.

Kiedy w pętli zobaczyłam nad sobą ziemię, usłyszałam głos Józka.

- Pela, uważaj, mówiłem ci przecież, żebyś zrobiła okrążenie.

- Niby się wszystko zgadza, zrobiłam okrążenie, ale w pionie, żeby się lepiej pokazać. Teraz nie zostało mi nic innego do roboty, jak lecieć nad pole i lądować. I choć z lotniska poganiają, jeszcze trochę zwlekam, bo wiem, że tylko teraz mogę się naprawdę cieszyć udanym przelotem.

Kiedy wyląduję, lot ten będzie dla mnie już tylko przeszłością.

Nie wszyscy na starcie wiedzieli, że byłam odholowywana, toteż swoim odlotem znad lotniska wprowadziłam trochę zamieszania.

Byłam nawet posądzona, że dostałam bzika, czy coś w tym rodzaju. O godzinie 18.12 lądowałam na wyznaczonym polu. Pole było duże i twarde, ale powierzchnia jego przypominała ręczną pralkę, toteż start „Foki” za CSS-em przy bezwietrznej pogodzie nie należał do przyjemności.

Nim się oderwałam od ziemi, spadły mi okulary, jeden but, a nogi skakały po pedałach. Zabierający mnie z pola Mirek Królikowski obejrzał się do tyłu i pokiwał głową, niby to współczująco, ale na pewno miał wielką frajdę kiedy sobie wyobraził, jak mnie poniewiera po kabinie.

Po 5 minutach lotu byłam nad lotniskiem w Lesznie, gdzie jak w każdy najzwyczajniejszy dzień odbywały się dalej loty.

Pelagia Majewska